Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 41. Poznań, dnia 12. Października. **1840.**

Literatura zagraniczna.

Populationistik oder Bevölkerungswissenschaft von Dr. Christoph Bernoulli. 1ste Hälfte. Ulm 1840.

(Dokończenie.)

Sławny statystyk Bickes obliczył przewyżki porodów i śmierci męzkich nad kobiece, i tak n. p. w Rossyi rodzi się więcéj synów niżeli córek o blisko 10 $^0/_0$, a umiera więcéj mężczyzn, niżeli kobiet, tylko o $3\frac{1}{2}$ $^0/_0$. W innych krajach różnice między rodzącémi się a umierającémi nie są tak wielkie, ale zawsze o więcéj przewyższa płeć męzka żeńską porodami, aniżeli śmiercią, zkądby wypadało, że w kolei wieków przewyżka mężczyzn nad kobiety w ogromnyby urość musiała niestósunek. Co, że się nie dzieje, widać, że albo obrachunki na fałszywych polegały daniach, albo że ów niestósunek wyrównywa się odwrotną śmiertelnością dzieci płci obojga. Wykaże się to z następujących postrzeżeń.

Z tablic statystycznych pruskich pokazało się, że jedna śmierć przypada

na 4,7 mężczyzn,	a na 5,45 kobiet	w 1szym roku życia,
» 47,5	» » 49,0	» do 14go » »
» 44,6	» » 45,0	» nad 14 lat życia.

W prowincyi Poznańskiéj na stu urodzonych umiera 55,4 przed 10ym rokiem, 4,0 w drugim dziesiątku lat, 28,5 od 20 — 60 lat, 28,6 nad 60 lat. Z całych Pruss od 1820. — 28. r. następujący wypadł stósunek:

	mężkich	żeńskich	ogółem
było porodów	2,333,000,	2,202,000,	4,535,000,
nieżywo się urodziło	85,800,	63,500,	149,300,
było więc żywourodz.	2,247,200,	2,138,500,	4,385,700.
Z tych umarło:			
w pierwszym roku . .	415,300,	335,800,	751,100,
w pierwszych 5 latach	249,900,	236,700,	486,600.

Z w.-księstwa Poznańskiego i Pruss takie jeszcze są z tych samych lat wypadki:

urodziło się	1,223,000	dzieci,
przyszło żywo na świat tylko . . .	1,197,000	»
umarło w pierwszym roku życia . .	201,900	dzieci,
nie doczekało pięciu lat życia . . .	362,100	»
umarło położnic	11,420	»

Na 107 matek rodzących przypada zatém u nas 1 matka umierająca, a na 47 dzieci żywo na świat przychodzących 1 umarłe już w żywocie matki. Z urodzonych tylko $\frac{4}{5}$ doczekuje się pierwszego roku życia, tylko $\frac{7}{10}$ pięciu lat. W pierwszych 5ciu latach jest o $\frac{1}{9}$ większe niebezpieczeństwo śmierci dla synów, niżeli dla córek, a podobieństwo doczekania roku piątego jest o $\frac{1}{28}$ niższe.

Śmiertelność dzieci nieprawego łoża jest wielka, a przestraszająca w domach podrzutków. W departamencie Bydgoskim według Ollenrotha zmiera w pierwszym roku życia $\frac{1}{3}$ dzieci nieślubnych, a tylko $\frac{1}{5}$ ślubnych. Baumann obliczył, że w ogólności tylko $\frac{1}{10}$ potomków nieprawych przechodzi do wieku młodzieńczego, a $\frac{9}{10}$ zmiera dziećmi. Domy podrzutków, te szczególniéj, w których sztuczne zaprowadzone karmienie, są prawdziwe otchłanie śmierci. Według Galliarda umiera w nich połowa pierwszego zaraz miesiąca, a $\frac{3}{4}$ w ciągu pierwszego roku. W Paryżu od 1818. — 22. r. zmarło na 1000 dzieci podrzuconych 251 w pierwszym tygodniu, a z pozostałych jeszcze 486 umarło, nie doczekawszy roku.

Szczepienie ospy korzystnie wpłynęło na utrzymanie dzieci przy życiu, kiedy dawniéj $\frac{1}{12}$ zmierała na tę chorobę w ciągu pierwszych dziesięciu lat życia, dziś zaledwie przypada dwóch na sto.

Autor kończy uwagi swoje nad śmiertelnością dzieci, zachęceniem rządu, aby tak ogromnemu jéj postępowi zapobiegł. Stratę, jaką towarzystwo z ubytku samych kosztów wychowania na dzieciach zmierających ponosi, oblicza Quetelet na Francyą na 432 miliony franków. Główną przyczynę téj śmiertelności uważa Bernoulli w niewygodach, niedostatku i nędzy ludzi ubogich. Listy zmarłych od 1821. — 30. roku w Anglii pokazują, że w hrabstwach rolnictwem się trudniących i bogatych, na 1000 zmiera dzieci 350 w pierwszym dziesiątku lat; w hrabstwach zaś fabrycznych, gdzie

wiele ubóstwa, zmiera ich w tymże wieku 435 W Berlinie obliczył Kasper, że na 700 zmarłych dzieci przypadało tylko 39 należących do zamożniejszych familii, a 240 z klass ubogich.

Ważniejszém o wiele jest badanie stósunków śmiertelności po za latami dziecinnego wieku. Na tych rachubach gruntują się w dzisiejszych czasach tak liczne zabezpieczenia życia mieszkańców. I tak: jeżeli na 2160 osób trzydziestego roku zmiera 20, więc na 108 przypada jedna śmierć, 107 zatém składać się powinno na zabezpieczony kapitał dla zmarłego. Na odwrót idzie pewność życia w téj saméj mierze, to jest można się łożyć 107 przeciw jednemu, że osoba trzydziestoletnia w tym roku nie umrze.

Piętnastoletnie obliczenia zmarłych w państwie Pruskiém do następnego doprowadziły wypadku:

Na 10,000 żyjących przypada

od 20. — 25. r.	4712 żyjących	56 zmierających, czyli 1 zm. na 84,1 żyj.
od 25. — 30. r.	4438 »	54 zmierających, czyli 1 zm. na 82,2 żyj.
od 30. — 35. r.	4167 »	55 zmierających, czyli 1 zm. na 76, żyj.
od 35. — 40. r.	3889 »	58,4 zmierających, czyli 1 zm. na 66,5 żyj.
od 40. — 45. r.	3583 »	64 zmierających, czyli 1 zm. na 56 żyj.
od 45. — 50. r.	3248 »	68 zmierających, czyli 1 zm. na 47,6 żyj.
od 50. — 55. r.	2883 »	78 zmierających, czyli 1 zm. na 37 żyj.
od 55. — 60. r.	2476 »	85 zmierających, czyli 1 zm. na 30 żyj.
od 60. — 65. r.	2000 »	106 zmierających, czyli 1 zm. na 19 żyj.
od 65. — 70. r.	1489 »	98 zmierających, czyli 1 zm. na 15,2 żyj.

W ogólności zaś przekonano się, że postęp śmiertelności nie dał się w żadnym pewnym oznaczyć stósunku. Ubywa znacznie od trzeciego roku życia, w 14tym roku u obojéj płci jest śmiertelność najmniejsza (1 : 200 często 1 : 250); do 25go roku zwolna postępuje, a wolniéj jeszcze u mężczyzn; do 31go roku więcéj znowu zmiera mężczyzn, niż kobiet. Między 30tym a 40tym rokiem stoją stósunki śmiertelności płci obojga w równowadze, aż od 50go i 60go roku śmiertelność osób podeszłych wiekiem wyrówniwa prawie śmiertelności dzieci. Nadewszystko zaś fałszywém jest mniemanie, jakoby pewne peryody życia ludzkiego, z powodu n. p. dostawania zębów, nadchodzącéj dojrzałości, ustanku wzrostu, peryody u kobiet i t. p. większą okazywały śmiertelność. Nie sprawdziło się to żadném dotąd postrzeżeniem statystyczném.

Już Hufeland uważał, że stan małżeński jest jednym z pewnych środków długiego życia. Uderzające są niektóre pod tym względem wykazy: n. p. w Amsterdamie na 100 osób umierało między 20tym a 30tym rokiem wieku, nieżonatych mężczyzn 43,1, a żonatych tylko 3,6, kobiet niezamężnych tego samego wieku 26,5, mężatek tylko 4,7. Lat 70 przeżyło na 100 osób tylko 5,7 kawalerów, a 27,2 mężów; panien zaś 16,4, mężatek 33,7.

Pomijamy rozliczne obliczenia śmiertelności uważanéj u ludzi różnego stanu, różnych zatrudnień, wśród wojskowych i wśród więźniów, bo acz ciekawe, oparte są przecież na zbyt nielicznych obrachunkach, i nie można z nich prawidłowych wyprowadzać stósunków. Opuścić także musimy pod lekarskim względem ważne nader §§. 16. i 17. o stósunkach liczbowych chorób rozmaitych do wyzdrowień i śmierci, i zdrowia do niemocy, a kończymy rzecz całą, statystyką samobójstw i makrobiotyki.

We Francyi liczba samobójstw od 1827. r. wzrastała od roku do roku, na cały kraj w postępie następujących liczb: 1733, 1998, 2118, 2340 (1836. r.) W ogólności z postępem oświaty rośnie liczba ludzi odbierających sobie życie, i dla tego dziś nie-równie więcéj takich mamy przypadków, niżeli przed 20 laty; więcéj po miastach, niżeli po wsiach; więcéj wreszcie w oświeconych, niżeli w nieoświeconych klassach. — W Prusiech przypada 1 samobójca na 14,400 mieszk., w Austryi na 20,900, w Rossyi na 34,200. Inaczéj wyda się ten stósunek po nasiadłych miastach: w Pradze przypada jedno samobójstwo na 5800 mszk., w Berlinie na 2940, w Hamburgu na 2222, w Paryżu na 2040, w Kopenhadze na 1000. (?) We Francyi 1831. r. było 32½ miliona mszk., 803,000 zmarłych, 2084 samobójstw; trafia zatém 1 samobójca na 15,600 żywych, a na 384 zmarłych. Odrachowawszy atoli od tego ludzi wieku, w którym sobie życia odbierać nikt nie zwykł, trafi 1 samobójstwo na 10,000 mszk., a na 200 zmierających.

Co do wieku, najsposobniejszą na takie przypadki bywa pełnoletność. Z 2340 samobójstw we Francyi r. 1836, 11 tylko było osób niżéj lat 16, a 193 osób wyżéj lat 70. Skłonniejsze ku odebraniu sobie życia bywają osoby nieślubne i owdowiałe. W Genewie na 133 samobójcach, liczono tylko 63 osób stanu małżeńskiego. Skłonniejsi do tego także są mężczyzni niż kobiety. W Pradze na 100 samobójców przypadało tylko 13 kobiet, w Berlinie 20, w Saxonii 28. Skłonniejsi nakoniec protestanci, niż katolicy. Według Kaspera na

100,000 ludności w czterech prowincyach ewangelickich pruskich było 9 — 10 samobójców, w Prussach i w w. ks. Poznańskiém, gdzie połowa katolików, 5 — 6 samob., w Westfalii, gdzie $\frac{3}{5}$ ludn. kat., 3 samob., w nadreńskich prow., gdzie $\frac{7}{9}$ ludn. kat. 2 samob., w obwodzie katolickim Trierskim tylko 1 rocznie na 64,000 mszk. Najrzadziéj samobójstwa zdarzają się u żydów.

Powody do odebrania sobie życia są różne, ale mało obliczone. Według Prewosta ze 133 przypadków w Genewie, 34 odebrało sobie życie z fizycznych słabości, 24 z obłąkania, 19 z bankructwa i t. d. Rodzaj śmierci także bywa różny, i tak n. p. w przeciągu 9 lat

utopiło się z namysłu osób	1178	w Paryżu,	789	w reszcie	Francyi,
zastrzeliło się . .	461	»	478	»	»
udusiło	427	»	156	»	»
strąciło z wysokości	360	»	94	»	»
powiesiło	324	»	672	»	»
zadało śmiertelne rany	280	»	87	»	»
otruło	175	»	47	»	»
Summa	3205	»	2323	»	»

Interesowne jest porównanie liczby mordów z liczbą samobójstw. W Rossyi obie te liczby corocznie o mało od siebie różnią się; w krajach zaś oświeceńszych liczba mordów o wiele mniejsza. We Francyi w ostatnich trzech latach było 231 zabójstw, a do dwóch tysięcy samobójstw.

Najdłuższe życie, jakiego człowiek według historycznéj pewności doczekał, był żywot Anglika Jenkinsa † 1670. r., który przeżył 169 lat. Zwykle 80 lat uchodzi za wiek już bardzo podeszły. Listy umarłych w Prusiech od 1820. — 28. r. wykazują na 10,000 zmarłych 50 starców nad 90 lat liczących, a 63 starych kobiet takiegoż wieku. Najwięcéj ich było w Poznańskiém i Prussach, najmniéj w Szląsku i Saxonii pruskiéj. Z list od 1820. — 34. roku w całych Prusiech doczekało na 10,000 mszk.:

70 — 80 lat	802	męż.,	885	kob.,	ogółem	843;
80 — 90 »	334	»	364	»	»	350;
90 — 100 »	46,7	»	55,7	»	»	51,1.

W Anglii (od 1813. — 30. r.) było 4 miliony umarłych, z tych od 90 — 100 lat, żyło 15,123 męż., 22,567 kob.,

» 100 — 110	»	»	621	»	1,243	»
nad 110	»	»	17	»	20	»
124	»	żył	1	»		

W Rossyi (od 1825. — 36. r.) na 1000 osób zmiera 33 nad lat 80, a na 10,000 16 nad lat 100 mających. W Warszawie 1825. r. przypadało na 1000 mszk. żyjących 18 starców od 70 do 100 lat.

Literatura krajowa.

Poezya.

Ułamek.

Gwiazda natchnienia, jak perła w bezdeni
Świeci dla wieszcza — w oceanie ducha,
Najczystszém światłem słonecznych promieni,
A po nad wody — falą pieśni bucha!
Kto chce jéj światłem spromienić oblicze.
Niech wpłynie nurkiem w głębie tajemnicze!
Ona mu jasnym promieniem rozświeci
Otchłań dla ziemskich tak straszliwą dzieci!
Co się na głuchym brzegu bawią życie całe.
I rade patrzą tylko na tło widnokręga,
A oko z wód ni z nieba tajemnic nie sięga —
I na piaskach jak skała zasną skamieniałe! —
Ani ich przeszłość złudzi marą przypomnienia,
Ani odblask przyszłości przebudzi z uśpienia!

A tam w bezdeni ducha świeci mleczna droga,
Po któréj wzrok gwiaździarza ślimakiem się wlecze,
Choć teleskopem zbrojny — nic już nie dociecze!
Ale wzrok wieszcza przejdzie za ten próg do Boga!
Pobrata się z duchami słonecznéj natury,
I wzbije się nad ziemskich wątpliwości chmury;
Bo je myślą promienną prześwieci — a w górze
Jak orzeł z chmur — w całéj się rozpatrzy naturze.
A kiedy z dołu bratnie dolecą go jęki,
Śle połyski nadziei i gromów piosenki.

16. Sierpnia 1840. *F. Ż.*

Obraz historyczno-charakterystyczny Polaków XVI. wieku.

Przyrodzenie obsypując hojnie swojémi dary słowiańską ziemię, a samychże Słowian najpiękniejszémi zdobiąc przymiotami, wlało w ich serca nie małą cząstkę wad szpetnych, dobre ze złém godząc mądrze. Bo chciało tego, ażeby lud słowiański przy dobrym swym bycie nie zleniwiał i nie zgnuśniał, ale mężne staczał boje ze złémi skłonnościami, i wywołanémi przez to nieszczęściami własnémi. Jak za pogańskich jeszcze czasów tu i owdzie czczone przez niego czarne i białe bogi w ustawicznéj z sobą zostawały walce, tak, gdy chrześcianinem został Słowianin, samolubstwo i lekkomyślność walczyły u niego z miłością ojczyzny i bliźnich, z zamiłowaniem porządku i pracy, zkąd dziwne wyradzały się sprzeczności znamionujące charakter Polaka, jako to rozrzutność i lenistwo, hojność i zabiegłość, próżniactwo i cierpliwość na wszelkie życia przygody. Złe te i dobre przymioty znowu wiodły za sobą liczny szereg pięknych cnót i wad szpetnych, które,

podług naturalnego rzeczy porządku, były tamtych skutkiem, czyli dalszém następstwem. Snadź z łona płodnéj swéj ziemi wyssali je Słowanie wraz z pożywanym pokarmem. Bo słowiańska ziemia również obfita jest w wysokie przyrody, jak charakter zamieszkujących ją ludzi, tu skwarem słońca, tam ostrością powietrza dokuczając, tu bujnémi niwami rozweselając, tam płaszczyznami piasku nudząc zmęczone oko wędrowca, raz obfite plony, to znowu, gdy ją przykre sparły skwary, chwast i leciuchne rodząc kłosy, tuczyła naprzemian i głodziła rolnika. Uprawiacz téj ziemi uganiał się ciągle za tém, ażeby bezpieczną i trwałą zapewnić sobie dolę, ale długiego szczęścia nigdy posieść nie mógł, bo światło nauk raz mu błyskało, drugi raz gasło, jak błędne topielce, o których gminne prawiły mu klechdy.

Na ten obraz w sile wieku będącego męża, dostarczyło mi kolorów jego publiczne i domowe życie: zobaczmy teraz, co mówią dzieje o osobach latami i płcią niedołężnych.

Pobożny mąż większą część czasu od zatrudnień domowych trawił na dobrych uczynkach i na nabożeństwie. Chętnie dawał ubogim jałmużnę, ale jéj nie dał żebrakowi, nie wypytawszy się go wprzód: czy umiesz się przeżegnać? czy umiesz pacierz? czy umiesz dziesięcioro przykazania?[1]) Przy obiedzie i przy wieczerzy udawał się do czeladniéj izby, i kazał przy sobie przeczytać z uczciwością przynajmniéj jeden rozdział z nabożnéj książki, najczęściéj z żywota P. Jezusa, zmówić modlitwę i t. p. Przestrzegał tego, ażeby czeladka miała przy pokarmie cielesnym duchowny obrok, miasto myśli i słów próżnych, którémi przeciwnie przy stole bezbożnych panów P. Boga najwięcéj obrażała.[2]) Pobożny gospodarz modlił się codziennie do Matki boskiéj, którą miał za opiekunkę, po Chrystusie jedyną, do niéj officium (nabożeństwo) codzień mówił, w jéj święta przedniejsze sakrament ś. przyjmował. O północy codzień na pacierze wstawał, godziny umęczenia pańskiego przed Bożą męką, która zwykle stała wśród wsi, klęcząc płaczliwie obchodził. Nieraz staruszek miły chodził do Bożéj męki zgarbiony, podpierając się kosturem, pies przed nim, wierny jego towarzysz zawżdy, a pacierze wielkie kościane u pasa, na których pod liczbą modlitwy mawiał po polsku, a niekiedy i po łacinie. Te pacierze odmawiał on liczbą wedle dni onych, w których P. Chrystus leżał w żywocie panieńskim, nazywał je koronką. W piątki chleb posypany popiołem jadał, a wodę pijał. Adwent, post wielki, i wigilie od kościoła przyjęte pilnie zachowywał. Wnukom siedm lat mającym z nabiałem jadać w piątki nie dopuszczał. Boże uchowaj, ażeby co we święto było robić. Nie raz on zięcia mocno za to zfukał, a jego żonę jako córkę własną łaskawie karał, gdy w czém przekroczyła prawo Boże. We wstępną środę popielec od kapłana przyjmował, i post wielki od chleba popiołem święconym posypanego zaczynał. We wielki czwartek do szpitala chodził dla umywania nóg ubogim. U stołu bawił się rozmową z teologami. Na zjazdy się wybierając wstępował po błogosławieństwo do kościoła, a co rok na rekollekcye zamykał się w jakim klasztorze. Wdowcem zostawszy, czystość aż do śmierci zachowywał, szatę grubą nosił, mieszkanie miał żałobą pokryte. Co miesiąc wstępował do grobu nieboszczki żony i modlił się. Czując się bliski śmierci, kazał się w świętne szaty ubrać i spowiednika zawołać, któremu do nóg upadłszy, płakał,[3]) prosząc o wysłuchanie spowiedzi i odpuszczenie grzechów.

Bywało, że pobożni ludzie panieństwo swoje ślubowali Bogu, ażeby w bezżeństwie żyjąc, mieli więcéj czasu na modlitwę i służbę Bożą. Tak uczynił ów przyjaciel Piotra Skargi Andrzéj Bobola, który, chociaż go od tego odwodzono przedsięwzięcia, poszedł za zdaniem ś. Pawła, że lepiéj ten czyni, kto w bezżeństwie żyje, i cały poświęcił się P. Bogu. Najgorętsze miewał on nabożeństwo, do najświętszéj panny, do któréj modląc się krzyżem padał, na jéj cześć dyscyplinami i inszémi umartwieniami trapił ciało. Krom świąt uroczystych, w każdą sobotę spowiadał się i kommunikował.[4])

(Dokończenie nastąpi.)

Wyjątki z najnowszéj powieści M. Czaykowskiego:

KOSZOWATA.

(Dokończenie.)

Kiedy wszedł Maxym i hardym pokłonem wszystkich powitał, i hardziejszym wzrokiem spojrzał na wszystkich, Wojewodzic dobył sakiewkę pełną złota: »Dobrześ się spisał chłopcze — na weź, to dla ciebie!« i całą sakiewkę mu oddał. — »Dziękuję ojcze — to będzie dla mojego starego.«

Generał okiem znawcy przejrzał od stóp do głów Maxyma i zbliżył się do starosty: »Waść mnie odstąp tego grucza, dam ci dziesięciu kozaków do wyboru z ca-

---

[1]) Mateusz Warszawiensis w kazaniu na pogrzebie Dobiesława Przeborowskiego.

[2]) Wujek w przedm. do żywota P. Jezusa.

[3]) Mokrski w kazaniu na pogrzebie Szymona Samuela Lubartowicza księcia Sanguszki. Bembus w kazaniu na pogrzebie Adama Czarnkowskiego. Widzewicz w kazaniu na pogrzebie Mikołaja Krzysztofa księcia Radziwiłła. Orzechowskiego Dyalog rozmowa V.

[4]) Bembus w kazaniu na pogrzebie P. Andrzeja Boboli.

łéj biało-cerkiewszczyzny, i parę set dukatów dodatku.« — Maxym pokraśniał, ale nie wstydem, bo tak zaiskrzył oczyma, jak wczorajsi wilcy — ale starosta prędko podchwycił: »Daruje jaśnie wielmożny generał, ja mu wolność chcę nadać w nagrodę jego czynu.« — »Dobrze robisz, mosanie starosto,« odezwał się wojewodzic, a przywoławszy starostę do siebie, dodał: »Z niedopłaconych tysiąca czerwonych złotych za Skibinice z nami kwita — kontrakt już podpisany — pan stolnik wręczy waszmość panu.«

Branicki widział grę twarzy kozaka i wcale go ona nie zagniewała — śmiały lubi śmiałego — wąs poprawił, »Zróbmy go szlachcicem, wszak nas tu znajdzie się dwunastu dobréj szlachty, do podpisania szlacheckiego świadectwa dosyć — a ten chwat tego wart.« — Wyprostował się Maxym: »Za wolność dziękuję — szlachcicem być nie chcę — a chcę służyć do śmierci panu staroście.« I na te ostatnie słowa spuścił oczy ku posadzce. — Po jeszcze kilku pochwałach, które przyjmował bez téj hardéj i panoszącéj się miny kozaka — pokłonił się i wyszedł — a wojewodzic wtenczas powiedział: »Mosanie starosto, przywiązałeś go do siebie, będziesz miał wiernego sługę, z serca ci tego winszuję.« — »A ja zazdroszczę waści, gdyby on był mój, zrobiłbym go watażką moich kozaków — bo dalibóg że coś on więcéj na pana, jak na chama wygląda — i możeby nieźle panował w takim atamańskim zamku, jak tu!« powiódł wzrokiem z wojewodzica na starostę. — Wojewodzic zbladł widno ze sromu za sprawę ojca, a starosta poczerwieniał i odwrócił oczy, ze sromu za własną sprawę. — Złotnicki zręcznie zmienił tę rozmowę, widocznie skierowaną przez generała do gospodarza domu i jego przemożnego gościa.

Przy obiedzie panowały najlepsza zgoda i najpozorniejsza grzeczność, ani śladu, żeby miało być jakie nieporozumienie się, albo współubieganie się o jedną rzecz między panem Potockim a panem Branickim. — Wielcy panowie arcy-doskonale to umieją, wodzić się między sobą, a przy ludziach udawać najserdeczniejszą zgodę. Oni, dopóki nie wystąpią przeciw sobie jawnie na harc, chcą, żeby ludzie, co ich z wierzchu tylko widzą, mówili: trzymają się z sobą za ręce, jak serdeczni bracia. U stołu było wesoło, jadła huk i to dobrego, wina starego podostatek; gadano o polowaniu, o rozmaitych fatałaszkach, a o sprawach ojczystych bardzo mało. Generał mało nie sześć razy wszczynał rozmowę o gospodyni domu, i zapowiadał, iż cieszy się nadzieją, że nie wyjedzie z Koszowatéj, nie zobaczywszy starościny. Na to wszystko starosta odpowiadał grzecznie, uniżenie, ale zawsze jedno: że mocno cierpi, zapewnie choroba kilka dni potrwa, i dla tego posłał do Kruto-horbów dać znać cześnikostwu, spodziewa się jednak, iż generał raczy zabawić z pare dni w jego domku. Na grzeczność generał grzecznością odrzucił; obiecanką, że za kilka dni przyjedzie. Rotmistrz z podkomorzym mocno się radowali ze swojego przyjazdu do Koszowatéj, bo to nielada rzecz dla szlachcica pochwalić się przed żoną i przed dziećmi, albo przed przyjaciołmi. »Byłem na objedzie z panem Potockim, z panem Branickim, i dalipan tak z nimi gadałem, jak z wami — i o tychże samych rzeczach. Ale razem dziwowali się cześnikowi, zkąd mu wlazła do głowy taka myśl, żeby tacy możni, zacni i grzeczni panowie, mogli szlachcica podmawiać do złéj sprawy. Oni klejnoty narodu, podpory władzy. I w obec dwóch wielkich panów przecież coś robiących — żadnemu szlachcicowi nie przyszła na myśl dumka, że większa część tych panków, to trutnie co miód narodu spożywają, a nie chcą nań pracować — co zazdroszczą władzy, ssą jéj dobrodziejstwa, a zamiast ją podpierać podkopują jéj siłę, prawie zawsze skrycie, rzadko jawnie. — Takby może pomyślał szlachcic bywalec, niedzisiejszy człowiek; miałby za sobą prawdę i wielką prawdę.

Po obiedzie jak przy obiedzie gadano o rozmaitych rzeczach, żeby ugościć pana generała często przynoszono wino i kielichy i spijano różne zdrowia — a nawet wojewodzic, generał, stolnik i starosta zasiedli do Kwindecza, ulubionéj gry pana Branickiego. Pan Złotnicki tymczasem jakieś konszachty miał z bracią szlachtą — każdego zosobna brał na stronę i z każdym coś szeptał.

Dopiero w parę godzin po wieczerzy porozchodzili się wszyscy. Po odejściu panów, szlachta na rozchodném na dobranoc wypiła jeszcze kilkanaście butelek wina, i poszła spać, pokotem na sianie przykrytém kobiercami — bo oprócz panów, dla kilku tylko przedniejszych znaczeniem i starszych wiekiem posłano osobno. Przy łóżku pana generała postawiono dwa kapłony pieczone, bochenek chleba i cztery butelki starego węgrzyna, to jego zwyczajna przekąska, kiedy się w nocy przebudzi — a przebudzał się każdéj nocy.

Kiedy w zamku już wszyscy spali, albo się spać pokładli, pan rządca jeszcze nie spał. Już wyszli od niego i Jurek i Moszko, musieli mu dużo nadonosić, bo każdego z nich poczęstował wiszniakiem — sam jeden siedział koło stołu i pisał, i wiszniak popijał — zatarł ręce, »Dobrze — dwóch współubiegaczy do korony, a trzeci król w koronie na tronie siedzi — dla niéj gradka — woda mąci się coraz bardziéj, niech ryby łapie, kiedy potrafi — albo niech wszystkich wydławi,

to mi jedno. I ten dudek wmiesza się do nie swoich rzeczy — dobrze!« łyknął wiszniaku, »a ona — zobaczymy!« uśmiechnął się — złożył napisany list w kopertę, zapieczętował i podpisał — potem otworzył boczne drzwi od winnego alkierza, coś tam patrzał — a ztamtąd głos się odezwał, ale moskiewskiém narzeczem »Słucham waszę wielmożność.« — »Cicho — oto masz list.« — »Do jego jasności generała Kreczetnikowa?« — »Cicho — chodź za mną.« Zapalił latarnkę i wyszedł, a za nim Moskal, przybrany w chłopską świtkę. Niebawem powrócił, zacierając ręce, »Ja swoje zrobiłem, teraz niech oni swoje robią — teraz myślmy o sobie; wplączę go koniecznie — a ona — może i z nią potrafimy — wszak mówią, że chcącemu nie ma nic niepodobnego.« Nalewał wiszniak w szklankę i jedną po drugiéj wychylał — jak mu pijaństwo zamoroczyło po głowie, nierozbierając się zwalił się na łóżko — bełkotał jakieś niezrozumiałe złorzeczenia i pogróżki, a po chwili zasnął silnie chrapiąc.

O astronomii w Polsce.

(Ciąg dalszy.)

«Pod tak nieprzyjaźném astronomii niebem — powiada Jan Śniadecki — gdzie wytężone zimno, słoty i zbyt mocne światło, opanowawszy pory roczne na udręczenie astronoma, stawiały na przemian jego pracom niepodobne do zwalczenia przeszkody; pod takiém mówię niebem, niczém nieuśpiona Poczobuta czujność, zebrała dosyć obfity plon obserwacyi, z których wielka liczba po rocznikach astronomicznych już ogłoszona, druga do obrachowania i wydania pozostaje. Dręczony częstémi i niebezpiecznémi zawrotami głowy, w roku 1807. oddał mi obserwatorium, i własnym swoim kosztem nabyte niektóre instrumenta i książki. Zbolałe otworzonémi ranami nogi przymuszały go do leżenia w łóżku, z którego się wykradał do obserwacyi w czasach pogodnych, i tém zdawał się krzepić upadające zdrowie i siły: a gdy w Październiku tegoż roku postrzeżony był kometa, i przez półtrzecia miesiąca w swym biegu uważany; Poczubut schorzały i cierpiący, nie dał się wszystkiémi prośbami oderwać po nocach zimnych od pracowitych obserwacyj, leżąc na ziemi, i wyłamując ciało, dla niewygodnego instrumentu położenia.» — Takie więc było Poczobuta zamiłowanie astronomii, że była jeszcze pokarmem dogorywającego już życia ośmdziesiąt i drugoletniego starca.

Godnym następcą Poczobuta w akademii Wileńskiéj był Jan Śniadecki, urodzony w Żninie w województwie Gnieźnieńskiém 1756. r. Uczeń szkół Lubrańskich w Poznaniu, póżniéj akademii Krakowskiéj, udał się po osiągnieniu stopni za granicę, aby się tam w matematyce i w astronomii udoskonalił, i tak wycelował w tych umiejętnościach, że zwrócił na siebie uwagę uczonych mężów w Niemczech, Francyi i Anglii. Kaestner, Ingenhous, Cousin, Cassini, Lalande, Herszel, Hornsby, Maskelyne, najbieglejsi pod ten czas astronomowie, zaszczycali go przyjaźnią i korrespondencyą. Listy Śniadeckiego pisane z Anglii do Cassiniego i Cousina, odczytywane były na posiedzeniach akademii nauk w Paryżu: a na odwrót z Francyi zdawał Śniadecki sprawę Doktorowi Hornsby, professorowi astronomii w Oxfordzie, o wszystkiém, co go zajmowało z postępu nauk astronomicznych tego kraju. Stawał się zatém niejako nasz ziomek pośrednikiem pomiędzy astronomami Anglii i Francyi, w braku pism czasowych i literackich styczności. Z tak głośnego u postronnych imienia, ten rzadki też przytrafił mu się zaszczyt, że po dwakroć ofiarowano mu posadę astronoma za granicą. R. 1780. jednocześnie powołany został przez prezesa Kommissyi Edukacyjnéj, Xięcia Biskupa Płockiego, na katedrę matematyki i astronomii w Krakowie z pensyą 6000 zł. pol.; i przez rząd Hiszpański, który za pośrednictwem pana d'Alemberta, pod warunkami o wiele korzystniejszémi, do urządzenia uważalni w Madrycie go zapraszał. Podobnie w r. 1802., kiedy go rząd Austryacki od wszystkich obowiązków w akademii Krakowskiéj uwolnił, razem dwoje wezwań otrzymał: na astronoma do Bononii, i na obserwatora w Wilnie. W obu atoli razach, idąc za szlachetném postanowieniem swojém poświęcania tylko ojczyznie swoich nauk i talentów, odrzucał najpowabniejsze dochody, jakie mu indziéj ofiarowano, i przestał na małém, byle w kraju zostać. Zanim objął katedrę Wileńską, odbył trzecią podróż za granicę do Hollandyi, Francyi i Włoch, i zbogacony wiadomościami, jakich nikt w kraju w takiéj rozciągłości nie posiadał, wrócił do Wilna na zawsze, obsypany godnościami i szacunkiem uczonych obcych i współobywateli. Umarł 1830. w 74ym roku życia.

Prócz szacownéj rozprawy o Koperniku, która na wszystkie główne języki w Europie przełożoną została, pisma Śniadeckiego z druku wyszłe, nie są treści astronomicznéj. Zasługi jego dla astronomii na obserwacyach polegają. Dziewięcioletnie prace w obserwatorium Krakowskiém były umieszczone w języku łacińskim w Efemerydach Wiedeńskich od r. 1798. do 1805.; tudzież w miesięcznéj korrespondencyi barona Zach z roku 1802. Postrzeżenia zaś czynione z uwa-

żalni Wiedeńskiéj od 1807—1824. ogłoszone były częścią w nowych pamiętnikach akademii nauk w Petersburgu, a w zupełności obwieszczały je rok po roku Efemerydy Berlińskie.

Nie możemy tu w końcu pominąć wielkiego projektu Śniadeckiego do mappy krajowéj, którą chciał zdjąć z całéj Polski przez ścisłe rozmiary geometryczne i astronomiczne, biorąc sobie w pomoc Felixa Radwańskiego profesora mechaniki w akademii Jagiellońskiéj. Miał to być krajobraz najdokładniejszy, z oznaczeniem długości i szerokości geograficznéj miast wojewódzkich i powiatowych; podniesienia miejsc względem rzek i morza; biegu i spadku rzek; wysokości i dyrekcyi gór; rozległości lasów, dziczy, gruntów nieuprawnych. Projekt ten wygotowany (ob. żywot. J. Śn. przez Michała Balińskiego) 1790. r. za pośrednictwem Czackiego złożony u kommissyi skarbu, spełzł na niczém, przynosi atoli zaszczyt autorowi, który go rozwinął, i wykonać był gotów.

Trzy i pół wieki kwitła zatém astronomia w Polsce, i dźwigło ją siedmiu mężów atletycznémi naukami swémi, jakby z nich każdy na jedno półstulecie był przeznaczony. Brudzewski, Marcin z Olkusza, Kopernik, Brożek, Heweliusz, Poczobut i Śniadecki poświetlają siodemką gwiazd pierwszego rzędu na niebie Uranii polskiéj, świecąc w rozległym trójkącie między grodem Krakusa, stolicą Kiejstuta, i Gdańskiem nadmorskim. Póki starczy nauk astronomicznych na ziemi, póty będzie sławy narodowi polskiemu, że tacy mężowie w kraju jego wzrośli, a obraz ich trwać będzie, zatknięty na błękitném tle dziejów astronomicznych, jak na firmamencie tylożgwiazdowy obraz niedźwiedzicy wielkiéj, wśród obrazów innych okolic nieba.

Do uzupełnienia obrazu, jaka u nas była astronomia, należy rozpatrzeć się jeszcze, jakie były jéj pomoce, i jaka praktyczna strona. W krótkości nam zatém nadmienić wypada o uważalniach i narzędziach astronomicznych, potém o kalendarzach w Polsce.

Najdawniejszém narzędziem astronomiczném był Cienioskaz czyli Gnomon, drążek prostopadły ku mierzeniu cienia słonecznego. Drzewa góry i budynki były naturalnémi gnomonami, i za tą skazówką powstało narzędzie astronomiczne. Niém jak za czasów Pyteasza, Eratostenesa i Ptolomeusza, obserwowano i u nas cienie południkowe w przesileniach, i przejście ciał niebieskich przez południk. Klepsydrami, późniéj zegarami mierzono czas, i oznaczano położenie księżyca względnie do gwiazd w zaćmieniach. Składano także narzędzia do mierzenia odległości kątowych, których dokładność według Lalanda mogła iść aż do 10′. Zapewne także początkowie używali astronomowie nasi lineałów parallaktycznych, jakich używał Ptolemeusz do oznaczenia parallaxy księżycowéj, i których dał opisania w Almagescie. Lunetę bowiem parallatyczną miał dopiero wynaleść Gruenberger w początku XVII. wieku, a udoskonalił Cassini w początku XVIII. stulecia. Astrolabium (gwiazdomierz), którego także już Ptolemeusz używał do uważania odległości księżycowych od słońca, widać mało było używane w szkole krakowskiéj, gdy dopiero Brudzewski w końcu 15go wieku pismem osobném *de constructione astrolabii* zwrócił na nie uwagę. A jednak wielka była tego narzędzia użyteczność, którego od czasów Jana II. króla Portugalskiego (1481—1495.) zaczęto używać w żegludze; albowiem król ten nadwornym swoim matematykom zalecił, ażeby majtków krajowych użycia onegoż wyuczyli.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Korrespondencya.

Berlin, dnia 29. Września 1840. r.

Kiedy literatura nasza zbogaca się corocznie tylu ważnémi dziełami, wydawanémi z nieznanych, przynajmniéj dotąd niedrukowanych rękopismów, godném jest uwagi, z jaką troskliwością bracia nasi, południowi Słowianie, pracują nad zachowaniem wszelkiego rodzaju pomników, świadczących o dawnéj sławie swych przodków, a stanowiących podstawę nowego życia dla współczesnych i następnych pokoleń. Wiadomo, że literatura południowych Słowian, uboga dotąd w dzieła nowe, posiada znakomity skarb płodów zeszłych wieków, mogących obok najpierwszych klassyków, nie tylko nowych ale i starożytnych, zaszczytne zająć miejsce. Same originalne poezye dalmatyńsko-raguzańskich pisarzy: epopeje, tragedye, komedye, satyry, eklogi, idylle, różnego rodzaju pieśni — razem zebrane i wydane, wynosiłyby więcéj niż trzydzieści znacznych tomów. Poezye te stały się dziś bardzo rzadkie, a wielka część wcale niedrukowana, rozrzucona tu i owdzie po klasztornych i prywatnych księgozbiorach, leży w znikomych rękopismach, uczekując wydawcy, któryby je ratował od zniszczenia. Dr. Gaj — znajomy już zaszczytnie i polskiéj publiczności, jako wydawca pisma literackiego «Danica Ilirska» i politycznego «Ilirske narodne novine» w Zagrzebiu w Kroacyi, a w skutku tego, jako wskrzesiciel nowéj literatury ilirskiéj, osobliwie przez oczyszczenie języka z błędnéj, chaotycznéj ortografii i podniesienie go z prowincyonalnych różnic i odmian, do jednéj ogólnéj i pisowni i mowy, jaka znajduje się w dawnych pisarzach, i jaką mówią najczyściéj w Istryi, Dalmacyi, Cernogorze, Bosnii, Sławonii, Serbii i t. d. — Gaj przedsięwziął wśród innych obecnych prac, jako wydania obszernego słownika, grammatyki, historyi ilirskiéj, zająć się także niezwłocznie wydaniem rzeczonych klassyków. Do prędszego uskutecznienia tego zamiaru skłonił go szczególnie następny wypadek:

Anglik Lord Stanley, podróżując przed kilku laty po Dalmacyi i Cernogorze, kupił tamże, zapewne nie jako miłośnik słowiańskiéj literatury, ale dla oryginalności, niewiadomo od kogo, za znaczną podobno summę, kilkanaście rękopismów ilirskich. Zawiózłszy je z sobą do Rzymu, tam przed powrotem do kraju umarł. Przy sprzedawaniu jego

pozostałości, osobliwych dzieł sztuki i pism, obecny antykwarz berliński Finck kupił słowiańskie rękopismy i wziął z sobą do Berlina. Dwa lata temu poznał się Finck przypadkiem u pewnego antykwarza w Wiedniu z Dr. Gajem, opowiadając mu o nabyciu owych rękopismów. Gaj, dla którego każdy odłamek pamiątki ojców ma wartość relikwii, przeznaczonéj do zachowania w mającém być założoném narodowém Muzeum, prosił go, aby mu ich odstąpił i oznaczając cenę przysłał ich spis szczególowy. Finck przystał na tymczasowy układ, i powróciwszy do Berlina, posłał spis ten na ręce wiedeńskiego antykwarza. Ten, czy go zgubił, czy zapomniał, dosyć, że gdy długo żadnéj nie dawał wiadomości, Gaj pojechał umyślnie do Wiednia, a gdy i ustnie nic pewnego dowiedzieć się nie może, przybywa w miesiącu Maju tego roku do Berlina, w nadziei, jeżeli już nie odzyskania, przynajmniéj dowiedzenia się, gdzie się rękopismy podziały. Finck tymczasem nie mając żadnéj od Gaja wiadomości, przedał już był z nich 12 numerów P. Mahnowi, professorowi języków nowożytnych w Berlinie, a trzy jakiemuś Rossyaninowi, którym przecież na szczęście był znany, prawowierny nasz rodak i literat Józef Lipiński. P. Mahn, równie uczony jak szlachetnie myślący cudzoziemiec, przejęty patryotyczném uczuciem południowego Słowianina, który mu gorącemi słowy malował sieroctwo swojéj ojczyzny, odstąpił mu, chociaż nie bez żalu, drogiego skarbu, który sam cenić umiał. P. Lipiński, kochający się z pewnym fanatyzmem w starych pomnikach i książkach, nie tylko polskiéj, ale całéj słowiańskiéj literatury, długo walczył z sobą, nim zdołał się rozstać z nabytémi przypadkiem rękopismami. Nie potrzebuje się zapewne tego wstydzić, że rozpłakał się jak dziecko za straconém cackiem, oddając je słowiańskiemu bratu. Wszakże ofiara ta pociechą mu będzie, bo w godne złożona ręce stanie się własnością bratniego narodu, i zwiększy w nim miłość ku naszemu imieniowi. Nie wiadomo, czy z zakupionych przez Lorda Stanley rękopismów żaden nie zginął, lub w inne nie dostał się ręce, chociaż Finck powiada, że kupił wszystkie, to jest numerów ośmnaście. Znajduje się między niemi kilka autografów znakomitych pisarzy z 15. i 16. wieku, tragedye, pieśni, poezye różnéj treści; jeden zawiera zbiór parę tysięcy przysłowiów ilirskich; ale najciekawszy i najważniejszy może będzie ten, który ma być historyą Macedonii i wojen jéj za Alexandra z Ilirami, którzy potém największą siłę wojska jego stanowili, o których dzisiejsi Ilirowie wspierając się na kilku ważnych dziełach własnych i i włoskich uczonych, uważają nie bez podobieństwa do prawdy, za swych przodków, tak czystych i prawowiernych Słowian, jakimi są sami. Bliższego sprawozdania o rękopismach tych możemy oczekiwać po szczególowém roztrząśnieniu ich w Danicy ilirskiéj.

Dr. Gaj udał się z Berlina przez Poznań do Warszawy, Moskwy, Petersburga, częścią, aby i od tamecznych niektórych uczonych, którzy, jak np. Kucharski w Warszawie, posiadają nie małą liczbę ilirskich rękopismów, nabyć z nich niektóre, co mu się też w części powiodło (od Maciejowskiego dostał Gundulicza «Osman» z przekładem włoskim); częścią, aby poznać bliżéj dwa najsilniejsze szczepy słowiańskie, które w wyobraźni południowych Słowian, są jak dwa olbrzymy ducha i fizycznéj siły, zdolne, gdyby się z sobą spoić mogły, ruszyć świat cały z swych posad. Gaj, powracając w miesiącu bieżącym przez Berlin, nabył jeszcze od Fincka ośmnaście innych rękopismów, łacińskich i włoskich, historyczno-jurystycznéj treści, tyczącéj się Dalmacyi, a szczególnie rzeczpospolitéj Raguzy. Przyjazd Gaja do ojczyzny będzie tryumfem dla młodego pokolenia, które w zapale swym cudyby tworzyć chciało, aby Danica ich dzisiejszego życia w słońce zbawienia się zmieniła! Tyle, co do rękopismów ilirskich.

Z wiadomości literackich, nas bliżéj obchodzących, nie mam nic nowego, prócz że w kalendarzu wydawanym przez Gubitza na r. 1841., znajduje się bezstronny, ze czcią pisany artykulik o Kościuszce, przy którym jest rycina portretu jego i mogiły krakowskiéj. Wyszedł także z druku pierwszy tom źródeł do historii polskiéj, wydany przez Nowakowskiego, nowa sposobność dla P. Berwińskiego do sponiewierania osoby wydawcy, bo jest tam artykuł jeden o monetach, który żadnéj styczności nie ma z historyą polską. Krytyka na Jocoseria jest raczéj, mimo słusznych niektórych zarzutów, paszkwilem przeciw osobie wydawcy. — Tegoroczném, dopiero od parę dni otwartéj, dosyć ubogiéj wystawy sztuk pięknych w Berlinie, główną, uderzającą ozdobą są odlewy królów polskich Mieczysława i Bolesława W. w bronzie. Nigdy mi się nie zdarzyło, widzieć coś w bronzie z większą troskliwością i wykończeniem odlanego. Tu dopiero można ocenić wartość dzieła i geniusz mistrza. Każda drobnostka zdaje się być osobno robioną, a przecież wszystko tak zlane w całość, że przed jéj skończonością drobnostek się nie widzi. Odzież, uzbrojenie całe, korony, w których, jako i w krzyżu Mieczysława i na mieczu Bolesława, drogie błyszczą kamienie, tak lekko zdają się przylegać do ciała, że jednę cząstkę po drugiéj prawie zdejmowaćby można. Widziałem to samo dzieło wykonane w glinie i gipsie, trudno sobie wystawić, ile zyskało odlane w bronzie. Bronz jest złotego koloru, a tak przezroczysty, że zdajemy się złote widzieć posągi. Prawda, że w rysach Bolesława zawsze jeszcze jest coś podobieństwa do cesarza Mikołaja. Ale tego artyście, który w mocarzu tym widzi żyjący ideał męskiéj budowy, i prawie pojedyńczémi częściami z natury go modelował, nie można wziąć za złe, jeżeli coś z tego mimowolnie przelał w atletyczną postawę Bolesława. Tak wykończone dzieło mało pozostawia do życzenia. Śmiało powiedzieć można, że z dzieł Raucha, które najwięcéj w marmurze wykonane zdają się nie mieć dosyć siły życia, obecne największe czynić będzie wrażenie. Chlubić się może Poznań takim pomnikiem, żal, że nie jest utworem rodaka.*) — Naszego rzeźbiarza Sosnowskiego są dwa biusty, robione z natury, jeden w marmurze, drugi w gipsie, obadwa z życia zdjęte. — Z obrazów najwięcéj jest krajowych, mało zagranicznych; większa część landszaftów, mało okresów historycznych, odznaczającéj się doskonałości prawie żadnych. Za to dużo jest pięknych rysunków, wiele pięknych medallionów, na pamiątkę różnych w tym roku obchodzonych uroczystości; kilka wybornych instrumentów, między niémi organy formą stojącego fortepianu

†††.

*) Redakcya nie może pominąć, iż nie podziela w tym względzie zdania szanownego i uczonego korrespondenta. Posągi Mieczysława i Bolesława tak nie zadawalają ją co do idei, która przecież wszędzie główną rzeczą być powinna, jak ją nie zadawala kaplica, do któréj są przeznaczone. — Dwa słupy z żelaza, na jakiém miejscu publiczném wystawione, na jednym krzyż, na drugim miecz, teby wywarły wpływ na lud, nie zaś świcidełka i herby kaplicy.

Przyp. Red.

OGŁOSZENIE.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*